



TAN CZĄC NA PROCHACH ZMARŁYCH

To udręczenie będzie jego hołdem i podarunkiem dla tych,
których zwiódł. Ból i nienawiść staną się żałosnym
kajaniem nad umarłymi.

LUDWIK LUNAR

FILIA

LUDWIK LUNAR

TANZAC
NA PROCHACH
ZMARLYCH

FILIA

TOPIELICA

Edward Sokulski stał na końcu Falochronu Zachodniego w gdańskim Nowym Porcie. Wiatr od kilku minut nieubłaganie rozwiewał mu włosy, mężczyzna przestał je więc przeczesywać dłonią i pozwolił podmuchom mierzwić jego i tak niedbałą fryzurę.

Założył na głowę kaptur bluzy i postawił kołnierz swojej dżinsowej katany, po czym schował w nim twarz, by choć na chwilę osłonić ją od mroźnych powiewów. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie znoszonych dresów w odcieniu szarego melanżu i pozwolił, by wiatr robił z nogawek napięte żagle. Mógł próbować szukać schronienia za niewielką latarnią morską, ale wiedział, że przed porywami znad morza nie ma ucieczki.

Kalendarzowa wiosna zaczęła się kilka dni temu, jednak pogoda wciąż dawała się we znaki, zresztą jak niemal przez cały rok nad zatoką. Edward zmrużył oczy i spojrział w kierunku plaży dla psów w Brzeźnie, na której zebrała się już spora grupka gapiów. Nie sądził, by którykolwiek z internetowych portali doniósł już o znalezieniu ciała, ale zapewne w komentarzach wstawianych przez mieszkańców w sekcji Raport na trojmiasto.pl pojawiły się już pierwsze

doniesienia. To tylko kwestia czasu, gdy informacja pojawi się na Facebooku i zleci się tu więcej ciekawskich oczu.

Sępy, które krążą nad padliną, nigdy nie śpią, pomyślał Edward i skierował swój wzrok na czarny ponton dryfujący nie dalej niż dziesięć metrów od falochronu. Dwaj nurkowie starali się wydobyć z wody nagie ciało, ale ono wciąż stawiało opór. Na powierzchni widać było tylko wygięte w łuk plecy i tył głowy pokrytej platynowymi włosami, które odbijały się bielą pośród ciemnej morskiej toni.

Kolor włosów nie pasował do opisu zaginionej, więc na dobrą sprawę Edward mógł dać sobie spokój i wrócić do swojego wysłużonego, ale znacznie cieplejszego niż brzeg zatoki volkswagena golf. Oczywiście dziewczyna mogła przefarbować włosy, ale byłoby to zbyt osobliwe. Od zaginięcia minęły cztery dni, a wstępne ustalenia od początku zakładały przypadkowe utonięcie.

Osiemnastoletnia Karolina Langiewicz świętowała z przyjaciółmi pierwszy dzień wiosny na plaży. Grupa młodzieży zrobiła ognisko, sporo wypła i w okolicy pierwszej, drugiej w nocy z poniedziałku na wtorek powoli rozeszła się do domów. Wszyscy następnego dnia zjawili się w szkole, mocno niewyspani i skacowani. Brakowało tylko jednej duszyczki, która wedle różnych wersji: wróciła sama do domu, została samotnie przy dogasającym ognisku, a nawet w ogóle nie brała udziału w imprezie.

Sokulski nie lubił tego typu spraw i wściekł się, gdy jego szef rzucił mu ją na biurko. Edward domyślał się, że była to kolejna odsłona kary za nieudane śledztwo z zeszłego roku, ale uważał, że komendant Walczak mógłby dać mu już spokój. Musiał jednak przyznać, że i tak widzi progres,

bo zaginięcie młodej dziewczyny było znacznie ciekawszym i bez porównania bardziej nobilitującym zadaniem, niż śledzenie złodziei rowerów i tropienie kogoś, kto truł psy na gdańskich Siedlcach.

Mimo to był wściekły, że po raz kolejny dostaje sprawę, z którą będzie wiązało się dużo biegania i bardzo mało konkretów. Pijane dzieciaki są najgorszymi z możliwych świadków. W ogóle nic nie pamiętają, do tego starają się ukryć wszystko, co mogłoby okazać się pomocne. Nie zdradzą, że palili zioło albo nałykali się ecstazy, a takie informacje mogłyby pozwolić na stawianie innych hipotez.

Odurzona dziewczyna mogła wpaść na dziesiątki głupich pomysłów, łącznie z kąpielą w lodowatej wodzie, a nawet planem przedostania się wpław do Szwecji. Niestety, zarówno koledzy z klasy, jak i rodzice zaginionej malowali jej piękną laurkę, w której nie było miejsca na niskie czyny i cokolwiek, co mogłoby wskazywać na chęć ucieczki czy myśli samobójcze.

Edward sprawdził zapisy wszystkich okolicznych monitoringów i jedyne, co udało mu się ustalić, to fakt, że zaginiona rzeczywiście była na plażowej imprezie. Uchwyciła ją kamera jednej z restauracji przy molo w Brzeźnie. Karolina Langiewicz przeszła obok restauracji o godzinie dziewiętnastej trzydzięci i skierowała się w stronę zejścia numer 51. W zasadzie tyle wystarczyło, by potwierdzić jej obecność.

Natomiast nie udało mu się znaleźć żadnego zapisu z kamery, który potwierdzałby, że dziewczyna opuściła plażę. Zaginiona mieszkała w jednym z falowców na Przymorzu, więc zdecydowanie mogła przebyć całą drogę powrotną pieszo. Co więcej, mogła przejść ścieżką przez zalesiony

teren i minąć wszystkie kamery. Powinien ją jednak złapać któryś z monitoringów przy wyjściach z parku Reagana. Zwłaszcza ten przy biedronce, jeśli wracała ulicą Obrońców Wybrzeża, albo któraś z kamer zamkniętego osiedla przy Czarnym Dworze.

Odczyty z nadajników BTS wskazywały, że ostatnie logowanie telefonu Langiewicz miało miejsce w okolicy plaży i nastąpiło o pierwszej dwadzieścia w nocy. Następnie telefon przestał logować się do bazy, co mogło oznaczać, że ktoś go wyłączył celowo lub padła bateria. Z zeznań niektórych świadków wynikało, że Langiewicz narzekała, bo zapomniała powerbanku, a bateria jej telefonu ledwo zipsała. Nie stanowiło to więc żadnego tropu, tylko kolejną przeszkodę. Czarny puzzel, który można było wedle woli dopasować w dowolnym miejscu, aby uzyskać rozmyte tło i ani jednego szczegółu.

Tak czy inaczej, wszystko wskazywało na to, że dziewczyna została na plaży, a to oznaczało masę pracy i dużo pytań bez odpowiedzi. Koniec natomiast zdawał mu się oczywisty, ale zanim będzie mógł zamknąć sprawę, musiał odnaleźć zwłoki dziewczyny. W przeciwnym wypadku będzie się z tym bawił przez długie miesiące.

Sokulski ściągnął brwi, starając się zrozumieć, jak doszło do tego, że ciało dryfowało w tym właśnie miejscu. Prąd wody już dawno powinien je popchnąć do brzegu albo w kierunku ujścia Wisły. Topielica nie zmieniła jednak swego położenia przynajmniej od godziny, kiedy to została zauważona przez pracowników jednej z pobliskich firm.

Jeden z nurków zszedł pod wodę i przez jakiś czas ciało poruszało się we wszystkie strony, zupełnie jak wędkarski

spławik, gdy ryba zaczyna skubać przynętę. Edward przyłożył dłoń do czoła, by osłonić się od słońca, które właśnie w tym momencie postanowiło dać o sobie znać i zaświeciło mu prosto w oczy.

Sokulski nerwowo przygryzał wargi i marzył o papierosie. Chciałby zaciągnąć się ciężkim dymem i wpuścić do płuc nieco spokoju. Wiedział jednak, że wiatr mu na to nie pozwoli. Musiałby zejść z falochronu, odnaleźć jakieś osłonięte miejsce, a najlepiej wejść do swego samochodu.

Niestety, nie miał na to czasu.

Nagle ciało topielicy uspokoiło się, po czym przewróciło na bok, a spod powierzchni wody wyłoniły się związane ze sobą nogi i ręce. Starszy aspirant zaklął pod nosem i obserwował spienioną wodę i ciało bezwładnie się na niej unoszące. Chwilę później wynurzył się nurek i uniósł w górę swą dłoń z wyprostowanym kciukiem.

BOJA

Edward Sokulski zaklął pod nosem i wcisnął lewy kierunkowskaz, po czym gwałtownie zmienił pas. Nadjeżdżające z dużą prędkością volvo xc60 zahamowało z piskiem i otrąbiło go sownie. Aspirant uniósł dłoń i uśmiechnął się przepraszająco do wewnętrznego lusterka. Wcisnął pedał gazu, wyprzedził rząd stojących w korku pojazdów, po czym gwałtownie skręcił i zjechał z Traktu Konnego w ulicę Orzeszkowej.

Tłumik jego blisko dwudziestoletniego golfa czwórki zakasłał, a potem zawył żałośnie. Sokulski pokręcił głową, minął stację pogotowia i pojechał w górę ulicy, aż do skrzyżowania z Dębową, na którym skręcił w lewo. Przejechał obok domów studenckich i zatrzymał się przed zakładem medycyny sądowej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Zielono-żółty budynek o nieregularnym kształcie musiał kiedyś robić wrażenie futurystycznego. Gdyby nie spłowiwały odcień, który od początku został źle dobrany, bryła wciąż mogłaby ujmować zdecydowaną surowością przecinających się linii. Sokulski wielokrotnie zastanawiał się, co stało za wyborem zieleni jako dominującej barwy dla katedry medycyny sądowej. Jeśli była to kojarzona z tym

odcieniem nadzieja, to Edward w ogóle nie był w stanie pojąć tej dziwnej aluzji.

Śledczy wspiął się po schodach wyłożonych jasnobezowym gresem, obstukał swoje kieszenie i nie znajdując tego, czego szukał, zaklął pod nosem. Zbiegł na dół, wyszedł z budynku i wrócił do zaparkowanego samochodu. Odszukał w schowku małe metalowe puzderko i włożył je do kieszeni. Gdy po raz kolejny pokonywał schody, wyciągnął z kieszeni pojemniczek z mentolową maścią i posmarował nią sobie skórę pod nosem. Silny orzeźwiający zapach wdarł się do jego nozdrzy, a żelowa maść schłodziła górną wargę.

Dotarł do drzwi jednej z prosektoryjnych sal, nacisnął na klamkę i wszedł bez pukania. Gdy tylko przekroczył próg, do jego uszu dotarł jazgot blackmetalowej muzyki, która wybrzmiewała z niewielkiego przenośnego głośnika ustawionego na parapecie okna. Skrzek wokalisty wwiercał się w jego głowę i wywołał grymas bólu.

Pomimo że mentol zawładnął jego powonieniem, odniósł wrażenie, że zmieszał się teraz z fetorem rozkładu. Nie miał pojęcia, czy rzeczywiście tak było, czy to jego umysł płatał mu figle. Tak czy inaczej, poczuł odruch wymiotny, ale zdławił go w gardle i przełknął nagromadzoną ślinę.

– Ed? – zapytał wysoki na blisko dwa metry mężczyzna w białym kitlu, którego długie, związane w niedbałą kitkę włosy wystawały spod siatkowatego nakrycia głowy.

Mężczyzna stał tyłem do drzwi i pochylał się nad prosektoryjnym stołem. Na wypolerowanej srebrnej powierzchni leżało nagie martwe ciało kobiety. Patolog zasłaniał sobą górną partię zwłok i głowę denatki, ale podbrzusze i długie

szczupłe nogi były doskonale widoczne. Sokulski zauważył ciemnoczerwone pręgi wijące się wokół ud i biegnące niżej w kierunku łydek. Ślady powstały zapewne za sprawą krępującego kończyny sznura, którym ktoś obwiązał dziewczynę.

– Cześć, Radek – odparł Sokulski i skinął głową do jego pleców. – Wiesz, że nie lubię, jak tak do mnie mówisz.

– Wiem, Ed – rzucił Radosław Marczak i odwrócił się w jego kierunku. – Przyszedłeś w sprawie Rusalki?

– Tak, tak.

Sokulski nigdy nie rozumiał specyficznego humoru patomorfologów, ale dałby sobie rękę uciąć, że gdyby jemu samemu przyszło kiedykolwiek całe dni spędzać na krojeniu martwych ludzi, to zapewne on także uciekłby w groteskowe żarty. Poza tym dałby sobie uciąć drugą rękę za to, że gdyby zbliżył do ust kubek z kawą Marczaka, to wyczułby w niej więcej alkoholu niż kofeiny.

– Możesz to wyłączyć? – zapytał, zarysowując w powietrzu koło, jakby chciał wskazać coś, co latało po całym pomieszczeniu.

– Za chwilę. – Marczak teatralnie otworzył usta, marmurując wrzaski, jakie wydobywały się z głośnika, po czym podszedł do biurka, na którym leżał jego telefon, i zatrzymał piosenkę. – To był mój ulubiony moment.

– Dzięki – powiedział śledczy, gdy muzyka w końcu ucichła. – Co dla mnie masz?

Patolog wydał usta i pokiwał głową na boki.

– Mało i dużo, zależy jak na to spojrzeć – odparł, niewiele wyjaśniając.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zobacz... – Marczak ręką przywołał Sokulskiego do stołu prosektoryjnego. – Ślady na szyi to chyba sam potrafisz dobrze zinterpretować?

Edward zbliżył się do nagiego ciała kobiety i rzucił okiem na zaczerwienione ślady oplatające jej smukłą szyję. Kilka pociągłych smug, które bez wątpienia wskazywały na uduszenie gołymi rękoma. Sprawca musiał użyć obu dłoni i zaciskał je bardzo mocno, być może rozluźnił ucisk dopiero wtedy, gdy ofiara już dawno wydała ostatnie tchnienie. Ślady te zauważył jeszcze na falochronie, gdy nurkowie wydobyli w końcu ciało z wody. Mimo to chciał, żeby przyjrzał się temu patomorfolog. Zależało mu na czasie i właśnie dlatego wysłał je do Marczaka, który nie robił ceregieli ze wstępny-
mi oględzinami na cito.

– Uduszenie – stwierdził śledczy.

– Brawo, Sokół! Dosyc przesadne i przerysowane, ale uduszenie.

– Afekt? – rzucił Sokulski.

– Być może – zgodził się z nim patomorfolog. – Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ze wstępnych oględzin wynika jednak, że doszło do zadzierzgnięcia.

Marczak spojrział na denatkę, a następnie wsunął dłoń pod jej głowę, delikatnie ją przy tym unosząc, i zaczął pokrótce referować swe spostrzeżenia:

– Po pierwsze, zaczerwienienia są także na karku. Choć skurwiel starał się, by zostawić tam jak najmniej śladów. Być może dusił ją jakimś pluszowym ręcznikiem albo czymś jeszcze miłszym w dotyku. Po drugie, nic jeszcze nie ciąłem, ale idę o zakład, że krtań i tchawica zostały ściśnięte tak mocno, jak dłonie nigdy nie będą w stanie tego dokonać.

– Ktoś chce, żebyśmy myśleli, że dziewczyna została uduszona?

– Na to wygląda. Równie dobrze mógł ją otumanić jakimiś lekami, a dopiero potem udusić. To tłumaczyłoby brak wyraźnych śladów walki. Oddałem krew do analizy, zobaczymy, może wyniki coś nam powiedzą. Jednak pewność będziemy mieli, dopiero gdy pozwolisz mi w końcu otworzyć to piękne ciało – powiedział patomorfolog i puścił do niego oko.

Sokulski spojrział na niego z niesmakiem, a potem przeniósł wzrok na martwą dziewczynę. Musiał przyznać, że jej ciało było wyjątkowo wysportowane, smukłe i nie posiadało nawet grama nadprogramowego tłuszczu. Wąskie ramiona, niewielkie piersi i piękna linia talii. Nogi, mimo że posiniaczone i naznaczone serpentyną po pętających je więzach, zgrabne i umięśnione.

Perfekcję anatomicznego wyglądu psuły tylko stopy, które były wyprostowane jak struna, tworząc równą linię z piszczelą. Poza tym całe były posiniaczone, a kostki palców odstawały, jakby lada chwila miały same wyskoczyć ze stawów. Patrzenie na nie sprawiało niemal fizyczny ból, toteż Sokulski odwrócił od nich wzrok i spojrział na twarz dziewczyny. Pociągła i delikatna, z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi. Wydatne usta, mały, nieco zadarty nosek i mocna linia brwi. Nie miał pojęcia, jakiego koloru były jej oczy, ale mógł się założyć, że podkreślały tylko wyjątkowość jej urody.

– Rodzice Karoliny Langiewicz powinni być tu lada chwila, by rozpoznać ciało – wytłumaczył policjant.

– Chodzi o tę zaginioną?

– Tak – potwierdził Sokulski, po czym przecząco pokręcił głową. – Ale ta tu w ogóle jej nie przypomina.

– To po cholere? ściągasz mi tu rodzinę na okazanie? Co, Sokół! – zapieklił się Marczak. – Wiesz, jak ja tego, kurwa, nie znoszę.

Sokulski tylko wzruszył ramionami.

– Przyjadą, potwierdzą, że to nie ich córka, i co dalej? – dopytywał patomorfolog.

– Ja będę miał ją z głowy – rzucił posepnie Edward. – A reszta to już nie moja brocha...

– Nie przydzielą ci tej sprawy?

– Nie – odparł posepnie policjant.

– Kto dostał Rusałkę?

– Bosak. – Sokulski domyślił się, że Marczak pytał o prokuratora, toteż podał mu jego nazwisko.

– Bosak? – zdziwił się patomorfolog. – To raczej szybko pójdzie. Nie pamiętam, żeby Bosak doprowadził ostatnio jakąś sprawę do końca.

– Zrobi, jak uzna. Nie moja sprawa.

Marczak rzucił na niego okiem, pociągnął nosem, po czym otarł rękawem pot z czoła.

– Walczak dalej truje ci dupę za tę historię z jesieni?

Sokulski machnął dłonią, jakby odganiał się od jakiegoś owada.

– Szkoda gadać – powiedział, po czym spojrzął na zegarek. – Dobra, zanim przyjadą, powiedz mi, o co chodzi z tą ręką?

Patomorfolog obszedł stół i stanął po prawej stronie denatki w miejscu, gdzie powinna znajdować się jej dłoń. Uniósł kikut do góry i wskazał palcem poszarpaną skórę na

jego końcu. Ręka kończyła się nierówną krawędzią około pięciu centymetrów nad nadgarstkiem, a z sinuej rany ster-
czyły dwie zgruchotane kości.

– Początkowo myślałem, że dłoń została odcięta w wy-
niku dużego ucisku sznura – powiedział Marczak. – Brzmi to
dość groteskowo, ale mogło się zdarzyć. Ktoś złożył dziew-
czynę na pół, jak szczyryk, następnie obwiązał razem jej
nogi i ręce, po czym obciążył czymś linę i wrzucił w ten
sposób do morza, jak jakąś pieprzoną boję. Sznur musiał
być naprawdę mocno zaciśnięty, poza tym siła prądu i fizyka
zrobiły swoje, przez cały czas zaciskając więzy. Ale...

– Ale? – zaciekauił się Sokulski.

– Kość została pierwotnie ucięta bardzo równo, zapew-
ne jakimś profesjonalnym urządzeniem, a w najgorszym
przypadku szlifierką kątową z diamentowym ostrzem.
Dopiero później została potraktowana jakimś tęym nar-
zędziem – oznajmił patomorfolog, po czym wskazał kilka
punktów na kości przedramienia. – Widać to zwłaszcza
na kości promieniowej. Tu i tu mamy równą krawędź cię-
cia, a kości się tak nie łamią. Tu natomiast została później
zmiażdżona, być może młotkiem lub kamieniem, aby za-
trzeć równą linię. Mimo to wciąż widać, że cięcie było do-
kładne. Na skórze też widać oznaki podobnego zacierania
fachowej amputacji.

– Fachowej?

– Nie twierdzą, że zrobił to chirurg czy choćby inter-
nista, bo wygląda to bardziej na chałupniczą, aczkolwiek
zaawansowaną robotę – wyjaśnił patomorfolog, a potem
dodał w zamyśleniu: – Musiał to zrobić ktoś, kto posiada
przynajmniej podstawową wiedzę z anatomii.

– W internecie pełno jest wszystkiego – stwierdził z rezerwą w głosie Sokulski. – Mógł podpatrzeć, jak się to robi, i...

Marczak spojrział na niego tępo i wzruszył ramionami.

– Być może – odparł. – Ale jest coś jeszcze.

– Co?

– To nie wygląda na jego pierwszy raz.

NIE ONA

– I jak ta twoja dziewczyna, Sokół? – zapytał komendant Walczak. – Zamykamy sprawę?

– To nie ona – odparł pośępnie Sokulski.

Komendant Robert Walczak oparł się dłońmi zaciśniętymi w pięści o blat biurka Edwarda. Stare, wysłużone drewno zaskrzypiało. Sokulski nie musiał spoglądać na twarz przełożonego, by wiedzieć, że lewy kącik jego ust wygiął się lekko w górę, zupełnie jakby ktoś przekłuł go igłą i przeciągnął przezeń nić, by móc teraz pociągać za nią i kontrolować jego mimikę.

– Nie? – zaciekał się Walczak i przysiadł na brzegu biurka, które zawyło rozpaczliwie, jakby miało za moment skończyć. – To co my zrobimy z dziewczyną z Nowego Portu?

Sokulski tylko wzruszył ramionami i spojrzął za okno. Ciemne chmury przesuwwały się z dużą prędkością po niebie, a słońce zawzięcie starało się przez nie przedrzeć, by przypomnieć, że nadeszła już wiosna. Pas drzew, który oddzielał ulicę od torów i Dworca Głównego, wciąż nie zdążył się jeszcze zazielenić, a wszechobecna szarość nie napawała otuchą.

– Może by oddać ją do szóstki? – powiedział w zamysle-
niu komendant i oburącz przygładził swe pokryte zbyt dużą
ilością żelu włosy. – W końcu to ich właściwość terytorialna.

– Może... – odparł obojętnie Edward.

– Chociaż sprawa i tak wróci do nas jak bumerang, bo
ktoś ją, kurwa, od razu wysłał do Marczaka – powiedział
z gniewem w głosie komendant i nachylił się w stronę So-
kulskiego tak bardzo, że nosem niemal dotykał jego twa-
rzy. – Co, Sokół?

– Dziewczyna nie miała ręki, szefie – burknął Sokulski
i spojrzał na Walczaka.

Twarze obu policjantów były bardzo blisko siebie, a ich
oddechy mieszały się ze sobą, potęgując tylko krępujące
uczucie zbytniego zbliżenia. Żaden z nich nie chciał dać jed-
nak za wygraną i pozostawał w pełnym gotowości napięciu.

Sokulski doskonale zadawał sobie sprawę z tego, że
Walczak wiedział zarówno o tym, że zwłoki wyłowione
z zatoki nie należały do zaginionej Karoliny Langiewicz,
jak i o tym, że nie była to zwykła topielica i sprawie nale-
żało się dobrze przyjrzeć. Robił to tylko po to, by dać mu
w kość i po raz kolejny pokazać mu jego zdegradowane
miejsce w szeregu.

– No i? – warknął komendant.

– Wydało mi się to ciekawe.

– Ciekawe!? – prychnął Walczak i wstał z biurka. – Cie-
kawe to będzie, jak mi znajdziesz tę pierdoloną Langiewicz,
bo jej matka wydzwaniania do nas co pięć minut i nie daje żyć
chłopakom na centralce.

Robert Walczak stanął tyłem do Sokulskiego i zapatrzył
się na widok za oknem. Niebo tymczasem zrobiło się ciemne

CHŁODNY, DESZCZOWY GDAŃSK KRYJE W SOBIE MROŻĄCĄ KREW W ŻYŁACH TAJEMNICĘ.

W Nowym Porcie zostaje wyłowione ciało młodej kobiety, a sprawą interesuje się starszy aspirant Edward Sokulski, który podejrzewa, że zwłoki mogą należeć do zaginionej przed niespełna tygodniem osiemnastolatki.

Szybko okazuje się jednak, że wyłowione ciało skrywa w sobie wiele tajemnic i mimo że jego tożsamość pozostaje nieznana, prowadzi śledczego przez labirynt nieudomówień i zaskakujących powiązań.

Śledztwo zaczyna zataczać coraz szersze kręgi, wciągając Sokulskiego w historię, która stawia przed nim i jego partnerką Darią Tyszką coraz więcej pytań bez odpowiedzi.

CZY MAJĄ DO CZYNNIENIA Z SERYJNYM MORDERCĄ?

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilia.pl



patronat:



FILIA MROCZNA
STRONA

cena 49,90 zł

